

Zygmunt Albrecht

Niektóre wspomnienia z pracy dziekańskiej : (konieczność walki o godność zawodu)

Palestra 18/11(203), 24-35

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Niektóre wspomnienia z pracy dziekańskiej (Konieczność walki o godność zawodu)

Rozumiem, że moja wieloletnia praca w zawodzie adwokackim, a zwłaszcza zajmowanie wysokiego stanowiska w jego samorządzie, czyni ze mnie osobliwego dłużnika: w czasie pełnienia funkcji w samorządzie byłem nim stale z tytułu zaufania, jakim mnie obdarzano, a obecnie, gdy się to skończyło, jestem dłużnikiem, od którego można żądać przekazania do skarbnicy naszych doświadczeń określonego dorobku: czy to pozytywnego na użytek przyszłości, czy też negatywnego jako *memento* przestrzegające.

Gdy tak pojmuję wywiązywanie się ze swego zadłużenia, moje wyznania nie dadzą mi sposobności do bezpośredniej dyskusji, mają bowiem charakter sprawozdawczy, z natury rzeczy na wskroś subiektywny.

Jak wiadomo, m. Łódź i jego województwo nie stanowiły w okresie międzywojennym samodzielnej izby adwokackiej. Należeliśmy do Izby warszawskiej, a namiastkę lokalnego samorządu zawodowego stanowiła powołana przez Radę Warszawską Delegatura Łódzka.

Po powrocie do kraju z niewoli niemieckiej w sierpniu 1945 r. wszedłem do tej właśnie Delegatury jako rzecznik dyscyplinarny Rady Warszawskiej, a po śmierci przewodniczącego tej Delegatury adw. Wacława Zylbera — zostałem jej przewodniczącym. Jednocześnie mianowany zostałem przez Ministra Sprawiedliwości wicedziekanem Rady Warszawskiej. Stan ten trwał prawie do końca 1949 r., kiedy to Łódź i województwo zostały wyodrębnione z Izby warszawskiej jako Izba samodzielna, dla której Minister powołał radę. Odwołany zostałem wówczas ze stanowiska wicedziekana Rady Warszawskiej; do mianowanej Rady Izby łódzkiej nie wszedłem.

Nie piszę kroniki Izby ani Rady Łódzkiej. Wytarłbym najchętniej z pamięci okres naszego „samorządu” trwający kilka lat aż do chwili powołania na stanowisko dziekana kol. adw. Mirosława Olczyka w r. 1953. W składzie nowej Rady zostałem znowu wicedziekanem; nastąpił renesans samorządu; pracowaliśmy w tym składzie do wyborów w 1956 r.

Skoro zastrzegłem się przed napisaniem kroniki naszej Izby bądź Rady Łódzkiej, tym bardziej nie zamierzam zagłębiać się w historię ustroju całej adwokatury. Niemniej jednak dla zobrazowania tła, na którym odbyły się wybory w 1956 r., oraz dla pełniejszego przedstawienia materiałów pozwalających na właściwą ocenę tego wydarzenia może się okazać celowe przypomnienie niektórych fragmentów historii. Zamykam je w ramach problematyki samorządu, przede wszystkim zaś powoływania jego organów. W szczególności przypomnienia wymaga tryb powoływania „okręgowych” (według dawnej nomenklatury) rad adwokackich.

Ostatnim przedwojennym aktem prawnym z dziedziny ustroju naszego zawodu była ustawa z dnia 4 maja 1938 r. — Prawo o ustroju adwokatury (Dz. U. Nr 33, poz. 289). Zgodnie z tym Prawem organem każdej izby było walne zgromadzenie jej członków (adwokatów i apli-

kantów adwokackich), które miało się odbywać każdego roku, m. in. w celu wyboru członków okręgowej rady adwokackiej. Stanowiska w organach miały być obsadzone na trzy lata, jednakże corocznie ustępować miała trzecia część ze składu każdego organu według starszeństwa mandatów.

Zasadą powoływania organów samorządu były więc wybory bezpośrednie w każdej izbie, jednakże już przepisy przejściowe i końcowe przewidywały, że pierwsze pod rządem nowego prawa rady okręgowe zostaną powołane przez Naczelną Radę Adwokacką, co też nastąpiło.

Wobec tych przepisów, a przede wszystkim ze względu na wybuch wojny, przewidziane wybory już się w ogóle nie odbyły.

Pierwszym po zakończonej wojnie aktem ustawodawczym o podstawowym znaczeniu dla adwokatury był dekret z dnia 24 maja 1945 r. o tymczasowych przepisach uzupełniających prawo o ustroju z 1938 r. W zakresie powoływania organów adwokatury dekret stanowił, że Minister Sprawiedliwości powoła, w składzie liczebnym i osobowym według swego uznania, tymczasowe władze.

Pierwsze wybory do organów samorządu adwokackiego zapowiedziane były w terminach wyznaczonych przez Ministra Sprawiedliwości.

Kolejnym interesującym nas zagadnieniem powoływania terenowych organów adwokatury uregulowała — na zasadzie bezpośredniości wyborów — ustawa o ustroju adwokatury z dnia 27 czerwca 1950 r. (Dz. U. Nr 30, poz. 275), dwukrotnie nowelizowana przez ustawy z dnia 19 listopada 1956 r. i z dnia 5 listopada 1958 r.

Ustawa z dnia 27.VI.1950 r. w pierwotnym brzmieniu przewidywała w art. 124, że Minister Sprawiedliwości określi w drodze zarządzenia tryb zorganizowania pierwszych organów adwokatury. W wykonaniu tego przepisu Minister wydał w dniu 29 lutego 1956 r. zarządzenie w przedmiocie przeprowadzenia wyborów do wszystkich organów adwokatury w okresie od marca do końca czerwca 1956 r. („Biuletyn NRA” nr 1/1956 r.).

Nasze wybory odbyły się na walnym zgromadzeniu Izby w dniu 6 maja 1956 r., a ukonstytuowanie się Rady nastąpiło — po uprawomocnieniu się wyborów — w dniu 28 czerwca 1956 r.

Trudno przewidzieć, jak ułożyłyby się losy samorządu pod działaniem ustawy z 1938 r., a w szczególności, czy byłaby dotrzymana promesa co do bezpośrednich wyborów. Wybuch wojny sparaliżował wszelkie możliwości zarówno faktycznego jak i legislacyjnego działania; w każdym razie, z przyczyn natury najwyższej, adwokatura aż do roku 1956 nie miała większego wpływu na skład organów swego samorządu zapewnionego ustawą.

Temperatura przedwyborcza na terenie naszej Izby była bardzo wysoka, co przypisać trzeba osobliwie dokuczliwym warunkom, jakich doświadczyliśmy pod rządem rad komisarycznych z okresu poprzedzającego mianowanie dziekanem adw. Olczyka.

Przebieg walnego zgromadzenia, któremu przewodniczył adw. Mieczysław Jarosz, odbywanego w auli Wyższej Szkoły Planowania i Statystyki, był niezwykle burzliwy. Mimo wysiłków i autorytetu osobistego przewodniczącego opanowanie wrogich manifestacji w stosunku do osób, które należały do rad, a zwłaszcza w stosunku do zniechęconego

powszechnie poprzednika adw. Olczyka, okazało się absolutnie niemożliwe. Wśród groźnej wrzawy osoby te zmuszone były opuścić salę (czołowa ich postać została później wydalona z adwokatury orzeczeniem Komisji Dyscyplinarnej — „Palestra” nr 4/1957, str. 117). Napięcie atmosfery było tym silniejsze, że wobec bezpośredniości wyborów frekwencja zgromadzenia była niezwykle duża, a wielka sala audytorium zatłoczona.

W wyniku wyborów skład Rady ukonstytuował się, jak następuje: dziekan — adw. Zygmunt Albrecht, wicedziekani — adw. Mirosław Olczyk i adw. Ksawery Gorzuchowski, sekretarz — adw. Stefan Majsterek, skarbnik — adw. Leonard Szymankiewicz.

Od tego czasu pozostawałem na stanowisku dziekana aż do roku 1973, kiedy to, ze względu na wiek, stan zdrowia i wyczerpanie się (według własnej oceny) z pożytecznych dla adwokatury inicjatyw, uznałem, że należy zrezygnować z dalszego kandydowania do rady i ustąpić miejsca następcom.

Wybierany byłem pięciokrotnie: w latach 1956 i 1959 w drodze wyborów bezpośrednich, a w latach 1964, 1967 i 1970 — w drodze wyborów pośrednich, gdyż jak wiadomo, obowiązująca ustawa o ustroju adwokatury z dnia 19 grudnia 1963 r. (Dz. U. Nr 57, poz. 309) uchyliła poprzednią ustawę z roku 1950 i wprowadziła wybory do rad pośrednio przez delegatów zespołów.

Nie jest tajemnicą dla wielu moich przyjaciół, że z funkcji dziekana chciałem zrezygnować już przed wyborami w roku 1967, jednakże pod ich wpływem — a według mego pojęcia reprezentowali oni kompetentną opinię naszego zawodowego środowiska — zgodziłem się kandydować nadal. Niech mi wolno będzie wyznać, że decydując się ówczesnie na rezygnację nie wymawiałem się ani wiekiem, ani stanem zdrowia, ani innymi — jak obecnie — pobudkami. Brałem natomiast pod uwagę zbyt częste rozbieżności w ocenach naszych zagadnień zachodzące pomiędzy ówczesnym reprezentantem resortu a mną jako przedstawicielem i rzecznikiem terenowego samorządu. Różnice wynikały zazwyczaj na tle rozmieszczenia nowo wpisywanych adwokatów. Zdarzyło się wreszcie, że z otrzymanym pismem, którego ton uważałem za niewłaściwy, udałem się do Wiceministra i oświadczyłem, że w razie nieuwzględnienia mojej prośby o wycofanie pisma zrezygnuję ze stanowiska w trakcie kadencji. Nie sędzę, aby moje ultimatum zastraszyło kogokolwiek, jest jednak faktem, że Wiceminister przyznał mi rację i zgodził się, abym zwrócił pismo. Wydarzenie to przeżyłem dość głęboko, jednakże wspominając je obecnie — mimo iż jestem nadal przekonany o swej racji — mam niekiedy wątpliwości, czy rzecz cała nie zasługuje na podsumowanie według znanego powszechnie przysłowia, kto i komu powinien ustąpić. Ostrość przysłowia łagodzi być może fakt, że od tego czasu stosunki ułożyły się znacznie poprawniej.

Ideą mojej pracy na wiodącym stanowisku w samorządzie była przede wszystkim obrona pozycji społecznej zawodu i podejmowanie tej obrony przed zarzutami jakoby immanentnej niemoralności i kupczenia sprawiedliwością. Starłem się realizować tę ideę w pismach oraz licznych przemówieniach, wskazując na przyczyny nieufnego i obrażającego naszą godność stosunku opinii do zawodu adwokata w ogóle. Przy-

czynę widziałem w generalizowaniu zjawisk, które można by odnieść tylko do nielicznych jednostek, niegodnych przyodziewania się w togę adwokacką — chyba tylko dla ukrycia pod nią obojętności etycznej lub wręcz rozmyślnie nieuczciwego działania.

Nie będę przecież dowodził truizmów, że funkcja obrony czy zastępstwa w sporze cywilnym jest czynnikiem niezbędnym w prawidłowym wymiarze sprawiedliwości, ale z drugiej strony muszę wyznać, że mimo to nie ma adwokata, który by — jak sądzę — nigdy nie miał wątpliwości, czy przedstawiane w sprawie stanowisko jest prawne i rzetelne. Miałem szczęście przestawać blisko z licznymi, bardzo wybitnymi i cennymi adwokatami, że przytoczę tylko już nieżyjących: Stanisława Garlickiego, Stanisława Janczewskiego, Władysława Żywickiego, Mieczysława Jarosza, a pominę wielu żyjących, którzy — i jedni, i drudzy — podzielali mój pogląd o niezwykłych trudnościach w wypadkach, kiedy pojawia się taka wątpliwość.

Problem właściwego stanowiska adwokata, gdy ma w sprawie wątpliwości co do prawidłowości i rzetelności swego stanowiska, nie jest z pewnością obcy adwokaturze w ogóle. Kiedy w roku 1958 brałem udział w delegacji prawników polskich do Anglii, już na lotnisku zostaliśmy zaopatrzeni przez gospodarzy w imienne teczki zawierające opracowany program 10-dniowego tam pobytu, a nadto w mapy autobusowe, kolejowe i kolei podziemnej oraz w dwie broszury: jedną A. H. Ormeroda, przedstawiającą najogólniejszy zarys cywilistyki angielskiej, oraz drugą Sir M. Amosa, dotyczącą kryminalistyki.

Ormerod, charakteryzując zagadnienia z dziedziny filozofii zawodowej w zakresie obowiązującego obiektywizmu jako kamienia węgielnego w pracy zawodowej adwokata, przytacza na ten temat rozmowę Boswella ze znakomitym barristerem drem Johnsonem. Nazwiska te przemawiają oczywiście lepiej do Anglików niż do nas. Boswell zapytał Johnsona, czy praktyka zawodowa barristera nie rani subtelnych uczuć uczciwości, Johnson odpowiedział, że nie, jeśli postępuje się właściwie, tzn. jeśli nie przedstawia się klientowi fałszywie własnej opinii o sprawie i jeśli nie kłamie się wobec sądu. „Ale co Pan myśli o prowadzeniu sprawy, o której Pan wie, że jest zła?” — zapytał Boswell. Na to odpowiedział Johnson: „Sir, nie wie Pan o sprawie, czy jest zła, czy dobra, dopóki nie rozstrzygnie jej sędzia. Powiedziałem, że fakty musi Pan przedstawić rzetelnie. To, że się myśli — albo, jak Pan to nazywa, wie o sprawie — że jest zła, wpływa z poglądu, że argumenty Pańskie są słabe lub nieprzekonywające; jednakże to nie wystarcza. Argument, który nie przekonywa Pana, może przekonać sędziego, a jeśli go przekona, to wówczas będzie Pan w błędzie, a on będzie miał rację (...)”.

Obszerne sprawozdanie z wizyty w Anglii zamieściłem w nrze 9 „Pa-lestry” z roku 1958. Jest w nim, jak mi się wydaje, sporo materiału poszerzającego problematykę naszego zawodu, nad którą głowimy się niejednokrotnie. Jeżeli ktoś z Kolegów uznał za zasługującą na uwagę moją publicystykę z okresu mego dziekaństwa, to niezależnie od merytorycznej oceny z pewnością dostrzeżł, że ma ona określony kierunek. Nie zajmowałem się w niej problematyką ściśle prawniczą. Wysiłki moje sięgały prób rozwiązania podstawowych w naszym zawodzie zagadnień etycznych, form wykonywania zawodu jako twórczego wkładu do naszej

ogólnej kultury, pozycji społecznej adwokata, analizy przyczyn, które powodują zastrzeżenia wobec nas, jako obciążonych — zdawałoby się — obowiązkiem w istocie swej zawierającym sprzeczność: obronę przestępcy a jednocześnie tej najwyższej cnoty, jaką jest sprawiedliwość. Nie tyle zresztą obronę przestępcy, ile podejmowanie tej funkcji w sytuacji, gdy już sam zarzucany czyn jest — niezależnie od stopnia tak elastycznego przecież pojęcia winy — odrażającą plamą na tle norm moralnych.

Nieliczni już tylko Koledzy pamiętają, jakie zmagania z fałszywą opinią o zawodzie stacaliśmy my, przedstawiciele adwokatury, w okresie poprzedzającym obecną ustawę o ustroju z 19 grudnia 1963 r. W szczególności oburzające nas artykuły ukazywały się wówczas w „Prawie i Życiu”, jak np. A. Rowińskiego pt. „Konkubina oczyszcza adwokaturę” i S. Piotrowskiego pt. „Sprawy cywilne i adwokatura”. Wtedy to w nrze „Prawa i Życia” z dnia 1.X.1961 r. odpowiadaliśmy na obraźliwe insynuacje z nieodżałowanym Kolegą Władysławem Żywickim dwoma artykułami: moim pt. „Adwokat i moralność sprawy” i jego pt. „O błędnych poglądach na adwokaturę”.

Odpowiadałem na artykuł S. Piotrowskiego, który opierał swe wywody m. in. na takich тезach: 1) gdyby wymiar sprawiedliwości mógł być idealny, to adwokatura byłaby zbędna; 2) w każdej sprawie możliwy jest tylko jeden sprawiedliwy wyrok, czyli tylko jeden z dwóch adwokatów jako pełnomocników stron ma słuszność; 3) pełnomocnicy stron bronią niejednokrotnie nie tylko spraw słabych, lecz wręcz niesłusznych, a nawet niemoralnych; 4) adwokaci prowadzą czasem sprawy wbrew własnemu przekonaniu, przy czym oczywiście istotną rolę odgrywa wysokość wynagrodzenia za prowadzenie sprawy; 5) we wszystkich wskazanych wyżej wypadkach adwokaci nie pomagają, lecz przeszkadzają sądowi w wymiarze sprawiedliwości.

Odpowiedź na bezzasadność tych тез nie była trudna: westchnienie o idealny wymiar sprawiedliwości jest godne uznania, jednakże musieliby wówczas być idealni ludzie, a przy takim założeniu niepotrzebny byłby i wymiar sprawiedliwości, zniknęliby przeto nie tylko adwokaci, lecz i sędziowie. Argument tylko jednego sprawiedliwego wyroku jest błędny, bo przecież prawda leży najczęściej pośrodku stanowisk stron, każda więc z nich ma częściową rację, do której zresztą starają się dociec co najmniej dwie instancje sądowe. Nie ma takich kryteriów, które by bez wyczerpującego zbadania pozwoliły z góry orzec, że czyjeś stanowisko w sprawie jest słabe, niesłuszne lub nawet niemoralne. Na obecnym stopniu cywilizacji ludzkość powszechnie przyjęła zasadę, według której dla prawidłowego rozstrzygnięcia sporu konieczne jest wysłuchanie drugiej strony. Jakże więc adwokat może z góry ostatecznie ocenić sprawę, zwłaszcza gdy z natury rzeczy jest mu przedstawiana przez klienta jednostronnie? Jeżeli zdarzy się, że adwokaci prowadzą sprawy wbrew własnemu przekonaniu, a istotną rolę odgrywa przy tym wysokość wynagrodzenia, to wypadki takie zasługują na represję.

Artykuł Kol. Żywickiego był bardzo rzeczowy i kategori czny. Sądzę, że treść publikacji z wymienionego egzemplarza „Prawa i Życia” byłaby pożyteczna dla każdego, kto szuka rozwiązań problematyki moralności i nieodzowności naszego zawodu. Z drugiej strony charakter jej pozwoli na zorientowanie się, jak trudne było zadanie organów adwoka-

tury w przygotowaniu uwag do projektu nowelizującego ustawę o ustroju adwokatury, skoro mogły się ukazywać w organie Zrzeszenia Prawników Polskich tego rodzaju artykuły jak wyżej przedstawione.

Stale niepokoiła mnie wysoce niesprawiedliwa opinia o naszym zawodzie (nb. jeśli przyjąć, że głosy prasowe reprezentowały rzeczywistą opinię). Na punkcie tym przeżywałem obsesję i do tematyki obronnej powracałem przy każdej nadarzającej się okazji, choć jednocześnie uznawałem i nasze uchybienia. W nrze 10 „Palestry” z 1959 r. zamieszczony został mój artykuł starający się wyjaśnić przyczyny bezpodstawności krytycznego stosunku do adwokatów. W artykule opublikowanym również w „Palestrze” (nr 10 z 1960 r.) pt. „Plaga egipska” uznawałem zachwaszczenie naszej retoryki sądowej dłużyznami i porzekadłami.

Sporą dozę krytyki wypowiedziałem na łamach „Nowej Kultury” w nrze 35 z 1955 r. (s. 6) pt. „O zespołach adwokackich, »naganiactwie« i »chodach«”. Ten ostatni artykuł stanowił polemikę z Władysławem Rymkiewiczem, autorem wcześniej zamieszczonego na łamach tego samego tygodnika artykułu pt. „Adwokat i róże”. Z Władysławem Rymkiewiczem, historykiem i powieściopisarzem, ścierałem się także na łamach łódzkich „Odgłosów”, gdzie autor ten, zresztą b. adwokat, zamieścił artykuł pt. „Palestra na rozdrożu — aby żyć”. Odpowiadałem obszernym artykułem pt. „Wspomnienia a rzeczywistość” („Odgłosy” nr 30 i 31 z 1960 r.).

Słowem, kierując się głęboką potrzebą wewnętrzną, reagowałem na każde dostrzeżone z jakiegokolwiek strony wystąpienie, które oceniałem jako nierzeczową demagogię, pogoń za łatwizną i sensacją.

Sposobność do wystąpień w obronie dobrego imienia adwokatury dawały nadto różnorodne spotkania, uroczystości (nawet przemówienia pogrzebowe, ale i sylwestrowe), plenarne posiedzenia Naczelnej Rady Adwokackiej, otwieranie nowych pomieszczeń zespołowych. Zresztą szukałem tych sposobności i organizowałem je, jak np. uroczystość 50-lecia pracy zawodowej wybitnego adwokata Mieczysława Jarosza. Na tę uroczystość przybył do Łodzi ówczesny Minister Sprawiedliwości Marian Rybicki oraz prezes NRA mec. Franciszek Sadurski, a także reprezentatywni przedstawiciele łódzkich Rad Narodowych, sądownictwa i prokuratury.

Sposobnością wreszcie były coroczne zgromadzenia delegatów, w trakcie których wygłaszałem referaty oznaczane w porządku dziennym jako „Sprawozdanie problemowe dziekana”. Na zgromadzeniach naszych bywali zawsze przedstawiciele instancji politycznych, prezesi sądów wojewódzkich i prokuratorzy wojewódzcy.

Wysiłki reprezentantów adwokatury, spośród których wymienię adwokatów: Michała Kulczyckiego, Stanisława Janczewskiego, Stanisława Garllickiego, Michała Szuldenfreia, Władysława Żywickiego, bo z nimi miałem zaszczyt współpracować jako członek Wydziału Wykonawczego NRA, przyczyniły się w znacznym stopniu do skorygowania opinii społecznej o naszym zawodzie. Podkreślam, że znowu wymieniłem tu tylko Kolegów już nieżyjących, pomijając aktualnie przecież Prezydium NRA, którego właściwa, rzeczowa i przekonująca wszystkich polityka zdołała opinię tę do reszty zmienić i zapomnieć o bolesnych czasach, gdy przy-

znawanie się do zawodu adwokata nie było, tak jak być powinno, honorem.

Liczni Koledzy nie przeżywali już tych upokarzających adwokaturę okresów, nieporównywalnych w ogóle z dobą obecną, kiedy to użyteczność i współdziałanie adwokatury w wymiarze sprawiedliwości uznawane są i podnoszone przez najwyższe czynniki polityczne i rządowe i kiedy zanikły już prawie przejawy złej woli w postaci prasowych kalumni, a w lepszym wypadku — wyczuwalnej do nas niechęci.

Gdy w czerwcu 1959 r. zatwierdzony został przez Ministra Sprawiedliwości regulamin Zjazdu Adwokatury, pozostała kwestia wyboru delegatów na Zjazd, a przede wszystkim oznaczenie jego terminu. Zdawaliśmy sobie sprawę z doniosłości Zjazdu, zwłaszcza w obliczu zmiany ustawy o ustroju adwokatury, którą to ustawę dyskutowano na co dzień, a Zjazd traktowano jako sposobność szerokiego i źródłowego wypowiedzenia się na jej temat.

Pełne sprawozdanie z przebiegu Zjazdu, odbytego w dniach 24 i 25 października 1959 r., zawiera protokół opublikowany w poświęconym mu numerze pierwszym „Palestry” z 1969 r.

Zjazdowi przewodniczył mec. Jan Gadomski. W przemówieniu swoim powiedział, że Zjazd stanowi moment historyczny w rozwoju naszej adwokatury, gdyż dotychczas nigdy nie było organu, który by reprezentował ogół adwokatury. „Jeżeli organ taki w poprzednich ustawach o ustroju nie był powołany, to może miało to znaczenie polityczne, mianowicie takie, że czynniki powierzające wówczas samorząd adwokaturze wołały jednak, ażeby ten sejm adwokacki nie był powołany”.

„Adwokatura polska była zawsze adwokaturą szczerze demokratyczną, szczerze postępową. Nie oznacza to, żeby wszyscy adwokaci odznaczali się tymi cechami (...). Ale te elementy, które w adwokaturze coś znaczyły, o obliczu jej decydowały, były szczerze demokratyczne i szczerze postępowe”.

„Dano nam teraz możliwość wypowiedzenia przez delegatów naszych dezyderatów i poglądów na rolę i obowiązki adwokatury”.

„Dobrze rozumiemy, że nadane nam prawa są jednocześnie i obowiązkami”.

„Musimy się dobijać o to, żeby szerokie rzesze społeczeństwa, szerokie rzesze pracujących miały zapewnioną pomoc, do jakiej są uprawnione”.

Zabierając głos na zjeździe, miałem na uwadze, iż jest to najważniejsza sposobność, aby zaprezentować argumenty na rzecz godności zawodu. Sposobność była tym większa, że już moi przedmówcy podkreślali nieznośną epidemię, jaka objęła niektóre organy prasowe w dziedzinie szkalowania zawodu. Dowód to, że nie nadmierna wrażliwość jednostek, lecz szeroka rzesza adwokatów odczuwała niezasłużoną krzywdę i żywiła pewność, iż metoda kąśliwych uogólnień prowadzi do wyników zniechęcających adwokata do konstruktywnej pracy. Niech mi wolno będzie przytoczyć tu fragmenty z tego mojego przemówienia:

„Wszyscy moi przedmówcy (albo prawie wszyscy) zajmowali się zagadnieniem, które nazywali dyfamacją adwokatury. Jest to, jak widać, problem, który każdego z nas nurtuje, męczy i który musi być przez

przyszłą Naczelną Radę przewentylowany w sposób prowadzący do jasnego rozwiązania.

Sprawa dyfamacji adwokatury nie jest rzeczą nową. Już Diodor sycylijski, znakomity historyk grecki, który za czasów cesarza Augusta opracował historię powszechną, pisał, że starożytni Egipcjanie likwidowali zawód adwokata dlatego, że nie przynosił ich zdaniem pożytku dla wymiaru sprawiedliwości, przeciwnie — wypaczał i zaciemniał prawo. (...) Wiadomo, że Napoleon, syn adwokata, był przeciwnikiem tego zawodu i skłonny był poucinać języki tym, którzy używają ich przeciwko rządowi. Mikołaj I uważał, że rewolucję francuską wywołali adwokaci (Danton, Robespierre, Mirabeau i inni).

Co się tyczy rewolucji, to w ich okresach adwokatura miewała zarówno przeciwników jak i zwolenników; wiadomo, że wydawała przecieź swych pionierów. Świadczy to o tym, że funkcja adwokatury jest czymś niezależnym od systemu społecznego i że w każdych warunkach politycznych ma swoje znaczenie, zależy zaś wyłącznie od stosunku państwa do zasady obrony prawa.

Nasz ustrój polityczny realizujący sprawiedliwość społeczną z pewnością ma właściwy stosunek do obrony prawa i praworządności. Musimy tej teży i ze swej strony swą pracą dowodzić.

Jestem zdania, że wysiłki naczelnych organów adwokatury zmierzające do rozpowszechnienia i ustalenia właściwej roli społecznej adwokatury powinny w sensie ważności hierarchicznej wyprzedzać inne zadania w zakresie szkolenia zawodowego aplikantów”.

Wchodziłem na Zjeździe do Komisji Porozumiewawczej, której zadaniem było przedstawienie kandydatów do Naczelnej Rady ze środowiska pozawarszawskiego. Z ramienia naszej Izby przedstawieni i następnie wybrani zostali koledzy-adwokaci Stefan Brzeziński i Stefan Taliowski.

Więcej zjazdów adwokatury nie było. Obowiązująca ustawa o ustroju nie przewidywała takiego organu adwokatury.

Mimo charakteru unikalnego omówionego wyżej Zjazdu, jestem przekonany, że nie mniejsze chyba znaczenie miał także Zjazd Zrzeszenia Prawników Polskich odbyty w dniu 8 października 1961 r. w Piotrkowie dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego, w mieście będącego w dawnej Koronie współsiedzibą (wraz z Lublinem) byłego Trybunału Koronnego. W Zjeździe uczestniczyło kilkuset prawników, w tym czołowi przedstawiciele magistratury, prokuratury, Partii i stronnictw politycznych. Trzecią część uczestników stanowili adwokaci. Pojawiła się znowu sposobność przedstawienia instytucji adwokatury we właściwym świetle, tak uporczywie, choć już mniej zawzięcie tłumionym wówczas przez czynniki trudne do jednoznacznego określenia. Nie mogłem okazji tej pominąć, aby w kontekście przemówień innych osób nie uderzyć w struny historyczne, tak przekonywająco przemawiające za nieodzowną rolą społeczną naszego zawodu.

Wspomniałem więc, iż wybitny praktyk i teoretyk francuski Jean Appleton twierdził, że między historią sądownictwa a adwokaturą zachodzi osobliwa zbieżność, że im bardziej triumfująca i sławiona jest sprawiedliwość, tym więcej uznania i honorów zbiera zawód adwokacki.

Adwokatura doznawała to chwały, to poniżeń. W szczególności ocena etyczna zawodu w ciągu dziejów opierała się na przesłankach po trosze przeciwstawnych sobie. Z jednej strony stwierdzano zawsze nieodzowność adwokata w prawidłowym wymiarze sprawiedliwości, z drugiej zaś nigdy nie brakowało zastrzeżeń co do moralności tego zawodu. Sprzeczność ta z punktu widzenia interesu społecznego jest niemożliwa do utrzymania. Nie można bowiem tolerować środowiska zawodowego, które by z istoty swej było niemoralne.

Toteż w rzeczywistości zastrzeżenia takie odnosiły się nie do samej instytucji obrony, lecz do sposobu jej wykonywania.

Niechęć do adwokatury przejawiała się np. w Rzymie w r. 550 *ab urbe condita*, kiedy Lex Cincia zabroniła obrońcom pobierania za swe czynności wynagrodzeń. Praktycznie groziło to zlikwidowaniem zawodu, zakaz nie wytrzymał jednak próby życia i doprowadził do szczególnych paradoksów. Rzymianie świadczyli od tego czasu wynagrodzenia obrończe w formie legatów, a wielki Cyncero przyznawał, że w tej upozorowanej postaci otrzymał więcej niż 20 milionów sestersów (*sestertius* — około 20 gr przedwojennych).

Pod koniec cesarstwa zawód adwokata był niezwykle szanowany. Próbkę tego daje Kodeks Justyniana w konstytucji cesarza Leona i Antheniusa, skierowanej do prefekta pretoriatu Ilirii (L. 14. Cod Just. de adv. jud II, 8): „Adwokaci, którzy rozwiązując trudności procesowe w sprawach cywilnych i karnych, przywracają prawa i podtrzymują zachwiane, są nie mniej pożyteczni dla ludności, niż gdyby ratowali ojczyznę walką i ranami. Uważamy, że ci, którzy noszą tarcze i pancerze, nie są jedynymi walczącymi za nasze cesarstwo; adwokaci czynią to także, gdy bronią nadziei życia i przyszłości cierpiących”.

Tę przesadną apoteozę zawodu przytaczam dla zobrazowania kontrastów historycznych. Dla kontrastu np. zestawieć by ją można z anegdotą przytoczoną na naszym Zjeździe w r. 1959 przez czcigodną mecenas Wiewiórską a pochodzącą według niej jeszcze ze średniowiecza: „Jeden jedyny adwokat był w raję i nie można go było wyrzucić dlatego, że komornika nie było tam nawet jednego”.

Obecny na Zjeździe Piotrkowskim Minister Sprawiedliwości Marian Rybicki, ustosunkowując się w swej mowie do przemówień zjazdowych, powoływał się na wypowiedź dziekana Rady Adwokackiej Łódzkiej jako „interesującą”. Powołanie to było imienne. Jeśli przytaczam ten fakt, to nie dla próżności, lecz dla podkreślenia, jakie znaczenie dla adwokatury mogła mieć wypowiedź z naszej strony o nas, nawet na Zjeździe nie dla nas przeznaczonym.

Po raz ostatni, przed wejściem w życie ustawy o ustroju adwokatury z roku 1963, miałem sposobność wypowiedzenia uwag ogólnych o naszym zawodzie w składanym rokrocznie Kolegom Izby sprawozdaniu. W serii tych uwag m. in. powiedziałem:

„Musimy znacznie głębiej niż dotąd wrosnąć w społeczeństwo. Nie chodzi tu o same kwalifikacje zawodowe, na podstawie których adwokat byłby oceniany. Wiemy, że ocena taka może być krańcowo różna w zależności od interesu stron mających odmienne cele w procesie cywilnym, podobnie jak i w karnym. Chodzi o pozazawodowy kontakt ze spo-

łeczeństwem, choć przecież i w zawodowej pracy powinien występować silnie czynnik społeczny.

Rada naszej starała się jak najbardziej uspołecznić izbę. Widziała w tym pożytek dla dobrego imienia adwokatury. Ile razy zdarzało się słyszeć pochwały adwokata, który przejawiał swe uspołecznienie w organizacjach zawodowych, na polu krzewienia życia towarzyskiego, polu naukowym, publicystycznym, charytatywnym, w organach rad narodowych, w stronnictwach politycznych, w sztuce, tyle razy odczuwało się jakiś splendor spływający na adwokatów. Prawda, że obecnie trudniej jest o inicjatywę w pracy charytatywnej, ponieważ zakres opieki Państwa nad obywatelami jest nieporównanie większy niż kiedykolwiek; to samo odnosi się do wszelkiego rodzaju zawodów twórczych: sztuk plastycznych, literatury, wynalazczości etc. Minęły czasy, kiedy twórcy nieodłącznie towarzyszyła bieda, z której iskry humoru potrafił krzesać Makuszyński. Niemniej jednak w innych dziedzinach otwarte są szerokie możliwości: w komitetach rodzicielskich szkolnych, w zakresie opieki nad młodzieżą, w sferach organizacji towarzyskich wychodzących poza granice zawodu. Musimy zakorzeniać się w społeczeństwie i dawać się poznać także ze strony niezawodowej, pamiętając stale, że walory wyłącznie zawodowe dają wielu osobom niefortunny obraz naszych postaci. Osoba nie wynosząca z procesu pożądaných korzyści będzie zawsze przypisywała adwokatowi umyślne wyrządzenie jej krzywdy”.

Nikt dzisiaj nie odważy się twierdzić, że adwokatura jest niepotrzebna. Dla krytyków powinna ona być „inna”. Ponieważ stworzenie jakiegoś sztucznego modelu, jakiegoś homunkulusa jest niemożliwe, powiadają oni, że nie nadążamy za świetną tradycją naszej adwokatury. Za jaką tradycją? Przecież nie tą z okresu szlacheckich trybunałów. W grę wchodzi chyba adwokatura polska doby niedawnej, a więc z okresu przed- i międzywojennego. Czy rzeczywiście adwokatura była wówczas lepsza niż obecnie? Jestem skłonny przypuszczać, że działa tu powszechna skłonność do idealizowania: wszystkiego, co powleczone jest mgiełką minionego czasu. Zaciera on ostre kontury, budzi łezkę żalu, każe myśleć tak jak o własnej młodości — bezcennej, bezpowrotnej. Bo i w przeszłości byli adwokaci wielcy, średni i mali. I w przeszłości byli bohaterzy i tchórze, oratorzy i nudziarze.

Myślę, że jest odwrotnie: przeciętny poziom adwokatury jest wyższy obecnie niż w przeszłości. Do podniesienia poziomu przyczyniły się z pewnością opracowane pod przewodnictwem mecenasa Stanisława Janczewskiego „Zasady etyki adwokackiej i godności zawodu”. „Zasady” są unikatem w skali światowej i służą na co dzień przy rozwiązywaniu kłopotów zawodowych, a przede wszystkim spełniają rolę instruktora w szkoleniu aplikantów. Należałem do Komisji, która opracowywała „Zasady” (zresztą w obydwu jej wersjach). Wersji zmienionej bowiem wymagało wprowadzenie zespołów adwokackich, nie znanych jeszcze w czasie opracowywania pierwszej wersji. Nie znaczy to, że adwokatura wcześniej już nie miała zwyczajowo wykształconych obyczajów zawodowych. Aleksander Kraushar w dziełku pt. „Palestra warszawska” cytuje wypowiedź współcześnie znakomitego adwokata Henryka Krajewskiego na jubileuszu równie znakomitego adw. Edwarda Grabowskiego: „Gdzie brakuje rozumnego poczucia godności osobistej i obowiązków

społecznych, tam adwokatura jest tylko źródłem szyskany, wyzyskiwaniem ciemnoty i występku, rzemiosłem nienawistnym i pogardzanym, sączącym zgorzenie w łono społeczeństwa.

W naszym pojmowaniu adwokatura nie jest funkcją ani aferą prywatną, ale jest ona urzędem publicznym, *munus publicum*, przy którego sprawowaniu nie wolno zaciemniać prawdy szychem fałszywych argumentów, nie wolno oddawać swej wiedzy i sumienia na służbę bezprawia i niecnoty.

U nas światły i prawy obrońca przede wszystkim zapobiega sporom, usuwa zawiąkania, pod egidą prawa i sumienia urządza stosunki społeczno-prawne, wyrównywa konieczną skądinąd sprzeczność interesów prywatnych, doprowadza do rozumnej równowagi, kierując się zawsze najwyższym prawem dobra publicznego”.

Każdą działalność człowieka zmierzającą do określonych celów uznać można w jakimś stopniu za walkę. Powoduje ją konieczność pokonywania przeszkód, częstokroć w ogóle nie przewidywanych. Mówię naturalnie o celach etycznie i społecznie pozytywnych. W samorządowej organizacji adwokatury dziekan należy do postaci czołowych, jest w pewnym sensie dowódcą oddziału operującego pod własnym sztandarem, symbolem godności, którą wpajać musi w kolegów swej izby i strzec wszelkim staraniem. Godność zawodu można chyba określić dość konkretnie: jako wewnętrzne zadowolenie każdego z nas z dobrze spełnianych obowiązków i dumę osobistą ze sprawowanej funkcji oraz jako szacunek dla zawodu ze strony społeczeństwa.

O tak pojętą godność zawodu starałem się walczyć. W jakim stopniu moje starania przyczyniły się do sukcesu — nie wiem. Wiem jednak, że likwidowałem wiele konfliktów, które dzisiaj wydają się już historycznymi dziwadłami, a powstawały na tle niechęci apriorycznych do zawodu, dczrzegano w nim bowiem obcość wobec wymiaru sprawiedliwości. Sloganów w typie „adwokatura współzynnikiem wymiaru sprawiedliwości” nie brakło, ale w początkach powojennego kształtowania się stosunków — sądownictwo, prokuratura, adwokatura były to przeważnie puste słowa.

Walka o godność zawodu w tym szerokim pojęciu, a przede wszystkim szacunku społecznego, musi trwać permanentnie wobec doświadczonej na przestrzeni dziejów zmienności poglądów. Walka opierać się musi na wysokim poziomie etycznym i zawodowym.

Starałem się zarysować próbę realizowania pierwszego z haseł wysuniętych przez pierwszą, pochodzącą z bezpośrednich wyborów w r. 1956, Radę Adwokacką Izby łódzkiej, a przecież i pozostałe zasługują na omówienie w świetle egzaminu życiowego. Liczę się z taką możliwością w przyszłości. To, co przedstawiłem, odnosi się do „dbałości o uprawnioną pozycję adwokata w wykonywaniu zawodu, odpowiadającą jego obowiązkowi współdziałania w ochronie porządku prawnego w Państwie”, a więc właśnie do godności zawodu tak od strony subiektywnej jak i jego oceny ze strony społeczeństwa. Zacząłem od hasła pierwszego nie dla układu w kolejności, lecz ze względu na jego dominujące znaczenie w całokształcie problematyki zawodu. Nie powtarzam argumentacji, którą przytaczałem wcześniej, w treści swej wypowiedzi.

Ośmielam się twierdzić, że walka o godność powinna być uznana za permanentny obowiązek adwokatury i że konieczność tej walki zasługuje na utrwalenie w skarbnicy naszych doświadczeń.

EUGENIUSZ ZEJDA

Obowiązki wierzyciela i jego współdziałanie przy wykonaniu zobowiązania przez dłużnika

Autor przedstawia wymienioną w tytule problematykę kolejno na tle przepisów kodeksu Napoleona, kodeksu zobowiązań, kodeksu cywilnego i ustaw szczególnych, starając się jednocześnie zgrupować wszelkie określone przez prawo wypadki, w których obowiązkiem wierzyciela jest współdziałanie przy wykonaniu zobowiązania przez dłużnika.

Nie jest celem niniejszego opracowania zbadanie tego, co kodeks cywilny rozumie przez pojęcie „zobowiązanie”, gdyż pojęcie to zostało już w sposób aż nadto dokładny i szczegółowy opracowane i wyjaśnione w licznych pracach i komentarzach. Wystarczy więc wskazać tu na obszernie wyjaśnienia Ohanowicza¹, Czachórskiego² i Komentarza do kodeksu cywilnego³ oraz na wyjaśnienia w licznych opracowaniach podanych pod art. 353 w wydawnictwie pt. „Kodeks cywilny — Tekst, piśmiennictwo, orzecznictwo”⁴.

Obowiązujące do dnia 30 czerwca 1934 r. przepisy kodeksu cywilnego Napoleona odróżniały w sposób wyraźny dwa rodzaje zobowiązań według źródła ich powstania, a mianowicie w tytule III: O kontraktach, czyli zobowiązaniach umownych w ogólności (art. od 1101 do 1356) i tytule IV: O zobowiązaniach powstałych bez umowy. W tym ostatnim tytule zostało podkreślone w art. 1370, że niektóre zobowiązania powstają bez zgody tak ze strony tego, kto się zobowiązywał, jak i ze strony tego, względem którego stawał się on zobowiązany, przy czym jedne z tych zobowiązań wypływały z mocy samego prawa i tworzyły się bez udziału strony, jak np. zobowiązania między sąsiednimi właścicielami, inne zaś miały swe źródło w czysto dobrowolnych czynach, z którymi ustawa wiązała powstanie stosunku zobowiązaniowego.

¹ A. Ohanowicz: Zobowiązania — Część ogólna, 1965, s. 28 i nast.

² W. Czachórski: Prawo zobowiązań w zarysie, Warszawa 1968, s. 28 i nast.

³ Kodeks cywilny — Komentarz, praca zbiorowa, Warszawa 1972, tom II (opracowanie F. Błahuty na s. 843).

⁴ M. Gintowt, S. Rudnicki: Kodeks cywilny — Tekst, piśmiennictwo, orzecznictwo, 1973.